

Dariusz SKÓRCZEWSKI

## NOWA PERSPEKTYWA POETYKI „DYSKURSU MARTYROLOGICZNEGO” ZA OCEANEM

W pogodny piątkowy wieczór 25 stycznia 2002 roku w Houston, w Teksasie, w Rice University, prywatnej uczelni cieszącej się w Stanach Zjednoczonych opinią elitarną, miało miejsce szczególne wydarzenie. W Sewall Hall zgromadziło się ponad dwustu słuchaczy – zjawisko nieczęste, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, iż w specjalnych odczytach i spotkaniach nie uczestniczy zwykle więcej niż kilkanaście, najwyżej kilkadziesiąt osób. Co spowodowało, że tym razem audytorium wypełniło aulę tak szczelnie, iż spóźnieni musieli znosić niewygodę słuchania prelekcji na stojąco?

Wydarzeniem, o którym piszę, był wykład Leonarda Mirosława Krążyńskiego, Konsula Honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w Houston. Wystąpienie to pod względem organizacyjnym zostało znakomicie przygotowane przez profesor Ewę Thompson, opiekującą się slawistyką i elementarnym programem studiów polskich, które udało się rozwinąć w Rice University. Liczne grono słuchaczy reprezentowało nie tylko Polonię z Houston (co mogłoby się wydawać bardziej oczywiste ze względu na temat wykładu), lecz również – na czym szczególnie zależało organizatorom tej kolejnej inicjatywy, podjętej w ramach Cen-

tral Europe Workshop [Warsztatów Środkowoeuropejskich] na Rice University – środowiska rdzennie amerykańskie. Wśród obecnych byli przedstawiciele rady miasta, środowiska akademickiego Houston, zarówno profesorów, jak i studentów, a także, co warto podkreślić, przedstawiciele środowiska żydowskiego.

Temat wystąpienia Krążyńskiego brzmiał: „Sealed Boxcars Moving East: Personal Remembrances of Soviet Russia’s Deportations of Polish Civilians to Siberia and Central Asia in 1939-1940”. [Zaplombowane wagony towarowe zmierzające na Wschód. Osobiste wspomnienia na temat prowadzonych przez Rosję Sowiecką w latach 1939-1940 deportacji obywateli polskich na Syberię i do Azji Środkowej]. Już samo podjęcie kwestii deportacji polskiej ludności cywilnej w głąb byłego Związku Sowieckiego było swoistym gestem demitologizacyjnym – rzucając wyzwanie tym wszystkim, którzy – wychowani na amerykańskich podręcznikach historii do szkół średnich – mieli mgliste wyobrażenie na temat gułagów, a jeśli cokolwiek wiedzieli o nich z literatury, to tylko za pośrednictwem powieści Solżenicyna. (*Inny świat* Her-

linga-Grudzińskiego, nie mówiąc o innych polskich wspomnieniach z „nie-ludzkiej ziemi”, jest w Stanach Zjednoczonych zupełnie nieznany. Skąd zresztą Polacy mieliby się wziąć na Syberii?!). Osobiste świadectwo Krążyńskiego dla wielu amerykańskich gości było pierwszą okazją, aby usłyszeć o wydarzeniach, które przez dziesiątki lat – paradoksalnie w kraju chlubiącym się demokratycznymi swobodami i wolnością słowa – okryte były swoistą „zmową milczenia”. Z jakich powodów? Na nieobecności tej problematyki w amerykańskim dyskursie historycznym i w konsekwencji w potocznej świadomości Amerykanów zaważyło kilka czynników: polityczna poprawność, przejawiająca się wytrwałymi dążeniami kolejnych ekip rządzących (zwłaszcza demokratycznych) do kreślenia jednoznacznie pozytywnego wizerunku Kraju Rad, przy jednoczesnym niedostrzeganiu imperialnych działań Rosji wobec innych państw; płynące stąd zafałszowania historii, wynikające też z nieznajomości (czy też z niechęci do) faktów oraz na skutek nieumiejętności obiektywnej oceny zdarzeń; silnie zakorzenione mity o Rosji i o Polakach, od dziesięcioleci przenikające amerykańską mentalność, głównie w wyniku lektury dzieł Dostojewskiego, ale i umiejętnej, najpierw rosyjskiej, a później sowieckiej, sztuki propagandy. Nie mam tu na myśli stereotypowych poglądów tak zwanego przeciętnego Amerykanina, ale opinie, które w USA podziela wielu ludzi z wyższym wykształceniem: politycy, profesorowie uniwersytetu, nauczyciele, lekarze, inżynierowie – zatem ci wszyscy, którzy swoimi stanowiskami i poglądami w istotny sposób wpływają na kształt świadomości społeczeństwa i na-

stępnych pokoleń. Znajomość tej części historii, która dotyczy stosunków polsko-sowieckich w okresie drugiej wojny światowej, wśród amerykańskich elit właściwie nie istnieje, co boleśnie odczuwa każdy Polak przybywający do Stanów Zjednoczonych.

Z tego właśnie powodu wykład Krążyńskiego o „zapięczętowanych wagonach zmierzających na wschód” i o dalszych losach ich pasażerów był tak ważny. Prelegent przypomniał o sowieckiej napaści na wschodnie tereny Polski i tym samym przełamał amerykański stereotyp „jednego agresora” we wrześniu 1939 roku. Uzmysławiał tragedię deportacji w prostych danych liczbowych: przeszło milion wywiezionych Polaków, w większości dzieci, kobiet i mężczyzn niezdatnych do służby wojskowej, a co dopiero do działalności „wrogiej rewolucji”, za którą zostali oni zaocznie skazani (włącznie z dwunastoletnim wówczas mówcą), słowem – tragedię haniebnie i okrutnie traktowanych niewinnych ludzi, z których ogromna większość nie przeżyła surowych warunków klimatycznych, głodu i pracy ponad siły.

Losy L. Krążyńskiego, który spędził kilka lat na Syberii, następnie przebywał w Uzbekistanie, Iranie i Afryce, aż wreszcie znalazł się w Stanach Zjednoczonych, przypominają koleje losów setek tysięcy innych Polaków, którzy po spędzeniu kilku koszmarnych tygodni w wagonach jadących nad Ob czy Jenisej docierali do kresu podróży, dla wielu z nich jednak będącego również kresem życia. Setek tysięcy Polaków – anonimowych postaci, które nigdy nie zdołały złożyć świadectwa na temat tego, co je spotkało. Być może historia Leonarda Krążyńskiego jest bardziej przejmująca od innych, bo przeżywało ją dziecko od-

łączone wyrokiem sowieckiego sądu od rodziny. To niewątpliwie ciekawy, fascynujący (o ile takimi słowami można opisać przeżyty przez kogoś dramat) i wzruszający materiał na powieść lub film. Kto wie, może kiedyś takie dzieło powstanie. Ważne jest jednak jeszcze coś innego. Nie wystarczy doświadczyć tego, co przeżyli Krążyński i inne, podobne do niego, bezimienne ofiary „czerwonego terroru”, by rzucić Zachód na kolana w podziwie dla własnej wielkości i heroizmu. Wspomnienie, choćby najbardziej unikatowe, o rzadkiej wartości, jest w Ameryce towarem, który trzeba umieć sprzedać na tamtejszym rynku. W przeciwnym wypadku zostaje ono zepchnięte na margines współczesnego świata, do rezerwuaru nikogo nieobchodzących śmiesznośc, nieszkodliwych dziwactw i rekwizytów przeszłości o zartartym znaczeniu, nawet gdy rekwizyty te są – chciałoby się rzec: obiektywnie – bezcennym zabytkiem całej ludzkości.

Polski odbiorca musi sobie uświadomić, że autor odczytu o wysiedleniu Polaków w głąb Syberii, przygotowując się do swojego wystąpienia, podjął zadanie niełatwe, by nie powiedzieć: niemożliwe. Podkreślił to sam na wstępie, cytując fragment wiersza Thomasa Wolfe'a:

Nadzy I samotni, znaleźliśmy się na wygnaniu.  
W mrocznym łonie  
Nie znaliśmy twarzy naszej matki;  
Z więzienia jej ciała wyszliśmy  
Do niewypowiedzianego i niewyraźnego  
więzienia  
Tej ziemi<sup>1</sup>.

<sup>1</sup> T. Wolfe, *A Stone, A Leaf, A Door*, w: *A Stone, A Leaf, A Door. Poems by Thomas Wolfe*, red. J. S. Barnes, New York 1945, s. 1 (przekład wiersza – D. S.).

Jak wypowiedzieć to, czego wyrazić się nie da w żadnym języku, ani polskim, ani angielskim, zwłaszcza to, co przeżyło się jako Polak, albo ściślej: dlatego, że było się Polakiem? Jak opowiedzieć to obcojęzycznemu audytorium, które nie tylko nie doświadczyło w swej najnowszej historii niczego choć trochę zbliżonego do dramatu polskich zesłańców, lecz w którego narodowej mitologii brakuje odpowiedniego kodu, umożliwiającego odczytanie takich sensów? To nie jest kwestia różnic gramatycznych czy stylistycznych, braku adekwatnego słownictwa. Problem tkwi głębiej, w tych pokładach języka, które są nośnikiem zbiorowych wyobrażeń, archetypów czy symboli. My, wychowani w kulcie narodowego męczeństwa i poniesionych ofiar, natychmiast reagujemy na tekst z martyrologiczną nutą. Wiemy, jakie doświadczenia kryją się za słowami, często bezradnymi, przybliżonymi, z trudem usiłującymi oddać istotę rzeczy, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z wypowiedzią silnie nacechowaną osobistym doświadczeniem. Łatwo identyfikujemy się z autorem, należymy przecież do tej samej wspólnoty. I nawet jeśli sami nie uczestniczyliśmy w zdarzeniach przezeń opowiedzianych, bez trudu potrafimy odczytać ich historyczny – i historiozoficzny – sens, rozpoznać ich wartość ponadindywidualną, podporządkowaną narodowej mitologii, na której szczycie stoi cierpienie jednostki włączone w cierpienie zbiorowości. Dla tego cierpienia ustawicznie, nierzadko już bezwiednie, domagamy się uznania ze strony innych społeczności, narodów i kultur, rozczarowani i urażeni, gdy nie okazuje się nam wystarczającego zrozumienia i – współczucia.

Z pewnością takiego właśnie podniosłego, patetycznego tonu oczekiwało od prelegenta w tamten piątkowy wieczór wielu słuchaczy urodzonych i wychowanych w Polsce. Leonard Krążyński wybrał jednak zupełnie inną strategię dotarcia do amerykańskiego audytorium. Rozumiał, że kod utrwalony w naszej kulturze, który wykształcił się na przestrzeni ostatnich dwustu lat, głównie pod wpływem tradycji romantycznej, okazuje się całkowicie nieadekwatny do przekazania tych samych treści po drugiej stronie Atlantyku. Jaka była ta strategia? Poetyka wystąpienia Krążyńskiego łączyła w sobie trzy elementy: 1. retorykę świadectwa osobistego, pozwalającą mówcy nawiązać bliski, bezpośredni kontakt ze słuchaczami; 2. umiejętne budowanie nastroju przez kontrast między zdarzeniami tragicznymi i komicznymi oraz przez wydobywanie odcieni humorystycznych z motywów o tonacji zdecydowanie mrocznej (chwyt ten umożliwił przekazanie tragizmu własnego doświadczenia jako surrogatu doświadczenia narodu, pozwalając jednocześnie uniknąć trudnej do przyjęcia przez Amerykanów jednostajnej nuty patosu); 3. apelowanie do przyjętych w kulturze amerykańskiej wartości, takich jak sukces i własna aktywność.

Autor i zarazem bohater wystąpienia ukazał się zatem publiczności jako człowiek, który w wieku kilkunastu lat znalazł się w piekle gułagu i przeżył, czyli mówiąc w kategoriach amerykańskich, odniósł sukces. Wysiłek, jaki włożył między innymi w zdobywanie pożywienia, w walkę z zimnem czy chorobami, w „awans” na kolejne szczeble obozowej „kariery”, determinacja, z jaką zabiegał o przedostanie się do polskiej

armii w Kazachstanie, a wreszcie otrzymanie stypendium w Seattle po ukończeniu polskiej szkoły w Kongo, słowem to wszystko, co sprawiło, iż pasuje do niego określenie „self-made man”, oznaczające w języku angielskim człowieka, który wziął ster swego życia we własne ręce, zyskało aplauz i podziw słuchaczy. Oto bowiem ujrzeli oni przed sobą kogoś, kto nie tylko zniósł upokarzające warunki życia w sowieckim gułagu (kręcenie głową w zdumieniu było chyba gestem najczęściej wykonywanym tamtego wieczora przez publiczność), lecz także przewyciężył narzucone ograniczenia, wykazał się inicjatywą i osiągnął swój cel – najpierw upragnioną wolność, a potem wysoką pozycję w amerykańskim społeczeństwie i w biznesie, zakładając przedsiębiorstwo, które dziś dokonuje ekonomicznego podboju Rosji (symboliczną zapowiedzią życiowej kariery Krążyńskiego było zdobycie przez niego w wieku kilkunastu lat Kilimanżaro).

Błyskotliwe wystąpienie Konsula Honorowego Rzeczypospolitej Polskiej w auli Rice University w Houston odegrało rolę nie do przecenienia w kształtowaniu wizerunku Polski i Polaków po drugiej stronie Atlantyku. Uświadomiło zgromadzonym Amerykanom skalę dramatu, który przeżył nie tylko prelegent, lecz którego doświadczyły także setki tysięcy jego rodaków, a o którym milczą amerykańskie podręczniki historii. Przede wszystkim jednak – dzięki znakomitej znajomości amerykańskiej mentalności i retoryki – mówca osiągnął coś, co niezwykle rzadko udaje się Polakom w dialogu z Amerykanami: zmusił ich do zadumy nad historią, w której sami nie brali udziału, i uzyskał zrozumienie dla skomplikowanego „polskiego lo-

su”. W jaki sposób to osiągnął? Dostosował swój język do ich dyskursu wraz z repertuarem pojęć, idiomów i symboli, czyli dokonał translacji partykularnego polskiego doświadczenia na uniwersalny język współczesnego zachodniego świata. Zrobił coś, czego Polacy zwykle nie odważają się – bądź po prostu nie potrafią – zrobić: wpłynął na zmianę amerykańskiego sposobu myślenia o Polsce. W takiej skali, w jakiej było to możliwe, przekształcił Amerykę. Zapewne nikt z amerykańskich gości, którzy tamtego wieczora opuścili Sewall Hall w Rice University, nie będzie już miał stereotypowego wyobrażenia o Polakach-nieudacznikach, którzy potrafią wprawdzie znosić cierpienie, lecz nie są zdolni do twórczego działania, a jedynie do resentmentów i przez to nie mają świata niczego pozytywnego do zaofiarowania. A takie przekonanie, niestety, dominuje w myśleniu o Polakach na zachodniej półkuli.

Ciężar pojedynczego polskiego doświadczenia, opowiedzianego w tak bardzo amerykański sposób, nie jest jednak

tak znaczny, by dokonać radykalnego przewartościowania polskiego wizerunku na terenie od zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych po Nowy Jork. Mimo to z sukcesu, jaki odniosło wystąpienie Leonarda Krążyńskiego, warto wyciągnąć wniosek natury ogólniejszej. Jeśli chcemy być obecni w świadomości Amerykanów, zaistnieć w niej jako naród, o którym warto mówić i który zasługuje na uznanie, to droga do tego celu nie wiedzie przez obnoszenie się z narodową mitologią i przez żądanie zrozumienia dla swoich krzywd z przeszłości. Należy raczej wyzbyć się fałszywie pojętej narodowej dumy i przyjąć język pojęć zrozumiałych dla adresata. Tylko w taki sposób możemy uzyskać sympatię społeczeństwa, na którego zrozumieniu i wsparciu tak bardzo nam zależy. I tylko w taki sposób możliwy jest partnerski dialog tych kultur, których pozycja we współczesnym świecie – z rozmaitych przyczyn, od nich samych najczęściej niezależnych – nie jest równorzędna.